

WIDOWISKO, KTÓREMU TRUDNO DAĆ NAZWISKO.

„Pokaż mi, co cię bawi, a powiem ci kim jesteś“ — takie powinno być motto przy poznawaniu obcych ludzi i krajów. Ktoś z zagranicy zdołał już nawet stwierdzić, że Polacy bawią się najlepiej, słuchając żydowskich kawałów o małym Morycu, albo o wielkim Rot-szyldzie. Natomiast Francuza nie wzruszają zupełnie te historie, podczas gdy będzie się zaśmiewał z blag wy-myślanych przez Marsylczyka.

Humor angielski jest, jak wiadomo, bardzo suchy i dla innych narodowości przeważnie niezrozumiały. Jako ofiary wybierają sobie Anglicy — Szkotów i bawią się znakomicie, opowiadając sobie o ich skąpstwie. A poza tem bawią się — patryjotycznie.

Teatry londyńskie były z początkiem sierpnia tak przepełnione, jakgdyby to był początek sezonu. Reinhardt wystawiał swoją „*piece de résistance*“, ów słynny „Cud“ Vollmoellera, którego atrakcyjność polegała dla Anglików głównie na tem, że rolę Madonny w tem widowisku gra lady Diana Cooper, renomowana piękność londyńskiego high-life'u. Inny niemiecki reżyser — Eryk Charell zmontował barwną operetkę „Casanowa“. Ale największem powodzeniem cieszy się u Anglików

rewja Noela Cowarda „Cavalcate“ w inscenizacji słynnego Cochrane'a.

Poszłam na tę „Cavalcate“, bo mi wszyscy znajomi odradzali. Że jest to pila i skondensowana nuda. Rewja patriotyczna w 22 odsłonach! Miłość ojczyzny na deskach music-hallu! Coś przeraźliwie angielskiego. Coś, coby w Paryżu wygwizdano, mimo całego przepychu wystawy. A tymczasem Anglicy chodzą już na to od pół roku i płaczą ze wzruszenia.

Teatr Drury-Lane jest wypełniony aż po sufit. Bilety wstępu są bardzo drogie. Za siedem szylingów uplasowałam się wysoko, bo aż na trzeciem piętrze skąd mam wspaniały widok na białe gorsy panów i jeszcze bielsze ramiona pań, na olśniewający blask brylantów i małe światełka męskich monokli. Ta wspaniale przystrojona publiczność angielska stwarza jakiś świąteczny nastrój. Mam wrażenie, że mój sąsiad, który ma minę para Anglii, a jest zapewne sklepikarzem, musi być tego samego zdania co i ja, iż nie mógł absolutnie lepiej zużytkować swych siedmiu szylingów.

A na scenie idzie rewja przy akompaniamencie ogłuszającej orkiestry. Jest to historia rodziny angielskiej w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Zaczyna się to w roku 1899 od wojny południowo-afrykańskiej. Napisy świetlne umieszczone po obu bokach sceny oznaczają upływające lata. Zresztą można się domyśleć, o jakie czasy chodzi, po powłóczystych sukniach kobiet, po olbrzymich kapeluszach, strojnych w strusie pióra, po taljach cienkich, jak u osy, po śmiesznych, malutkich parasolkach. A muzyka wywleka równocześnie mnóstwo starych melodyj, walców, polek, kadryli.

Zaczyna się to więc od wojny burskiej, z której je-

dni wrócili, ale inni polegli. Jedna odsłona przedstawia np. aleję w Hyde-Parku, w której siedzą same kobiety w żałobie. Nikt nic nie mówi, nawet dzieci się nie śmieją. Publiczność wzdycha i bije brawo.

A potem widzimy po kolei losy młodej kobiety, która jest bohaterką tej rewji. Jej dom — to właśnie Anglja. Jej życie jako mężatki, jest wzorowe. I całe to życie angielskie defiluje przed naszymi oczyma. Jakiś bal u księżnej takiej a takiej. Przepych tej sali balowej jest nie do opisanja. Zamiast stu nagich girlsów, ogląda się na scenie sto młodych kobiet, ubranych według mody r. 1900. Inna odsłona, to znowuż zabawa ludowa. Potem kąpiele nad Tamizą. Potem pierwszy balon wznoszący się nad miastem. Jakieś drobne zdarzenia familijne: małżeństwa, pogrzeby. Jakiś młodzieniec, należący do rodziny, urządza swój kawalerski wieczór przed ślubem. A więc przedwojenna „separatka“ hotelowa, piękne kobiety o złotych włosach, spiętrzonych na „podkładkach“. Kilku młodzieńców wypowiada pijackie tyrady. Kobiety śmieją się i zataczają na nogach. Jedna z nich siada na kolanach narzeczonego. Jest to szczyt orgji, jak na pojęcia angielskie i publiczność krzywi się z niesmakiem.

Następna odsłona przedstawia tegoż młodzieńca na pokładzie okrętu, uwożącego go z młodą żoną w podróż poślubną. „Teraz będziesz już zawsze do mnie należał“ — mówi z triumfem młoda kobieta. Długi uścisk. A tymczasem zręcznie skierowany reflektor oświetla złowróźbny napis na okręcie: „Titanic“.

Bohaterka rewji powraca w duszny, sierpniowy wieczór z mężem i synem do Londynu. Na ulicach jest dziwny tłok, rozlegają się okrzyki i piosenki żołnier-

skie: mobilizacja 1914 roku została ogłoszona. Przy dźwiękach „Tipperary“ maszerują szare postacie żołnierzy przez scenę. Naturalnie Joe, syn naszej bohaterki jest z nimi. I znowu niesłychana inscenizacja: nie można się wprost doliczyć tych żołnierzy. Setki, czy tysiące tych mundurów „khaki“ i tych karabinów?

Rok 1915, 1916, 1917. Inscenizacja się nie zmienia. Ciągłe nowe oddziały maszerują przy dźwiękach „Tipperary“. A na dole wśród publiczności migocą wciąż brylanty — i łzy. Tymczasem Joe przyjechał na krótki urlop. Kocha się w młodej dziewczynie, którą zna od dziecka i pragnie ją poślubić, gdy się wojna skończy. Ale urlop trwa tylko kilka dni. Matka odprowadza go na stację. Na scenie dymi pociąg zabierający urlopników. A równocześnie nadjeżdża drugi, z którego wynoszą rannych.

Siedzę wgórze i mam wrażenie, że śnię. Oto jestem na rewji i patrzę na rannych i na pielęgniarki, na zbolełe matki i na wynędzniałych żołnierzy. I każda scena aż do chwili, gdy bohaterka tej rewji otrzymuje — wśród bicia dzwonów, oznajmiających zawieszenie broni — telegram o walecznej śmierci syna — każda scena zdaje się mówić: „Nie zapomnijcie! Nie zapomnijcie tego, cośmy zrobili dla Angliji!“. A na dole migocą wciąż brylanty — i łzy.

Ostatnia odsłona, to wieczór sylwestrowy 1932 roku. Widzimy sale dancinowe, w których się tłoczą młodzi ludzie przy dźwiękach jazz-bandu i doki nad Tamizą, gdzie włóczy się bezdomna nędza. Bohaterka rewji jest siwowłosą kobietą. Straciła dwóch synów, obchodzi więc sylwestra tylko w towarzystwie męża. Bije dwunasta godzina. Stara, siwa kobieta wznosi kielich

z szampanem w stronę publiczności i mówi: „Nie żałuję niczego. Piję za wieczny pokój i za wielkość Anglii“!

Naturalnie, że muzyka gra „God save the King“, Naturalnie, że publiczność szaleje z entuzjazmu i domaga się wciąż ponownego podniesienia kurtyny. I naturalnie, że cudzoziemiec wychodzi całkiem ogłuszony tem widowiskiem, dla którego naprawdę trudno znaleźć nazwę.

Nie ulega wątpliwości, że podobna rewja zostałaby wygwizdana w Paryżu. A w Polsce pies z kulawą nogą nie poszedłby jej oglądać. Paryż ma swoją ustaloną reputację miasta rozpusty, pikanterji i wogóle wszystkich siedmiu grzechów głównych. Paryż żyje z obcych, przyciąganych tą właśnie reputacją. Nie może więc zrywać z tradycją. Anglik jest panem u siebie. Żąda widowisk, przykrojonych na swój gust, a nie podług smaku obcych. Jedzie do Paryża, gdy chce ujrzeć rozebrane kobiety na scenie Folies-Bergère, ale u siebie w domu wybiera „Cavalcate“. I jeszcze jedno: Anglicy nie wstydzą się manifestować swego patryotyzmu. U nas należałoby to do złego tonu, takie entuzjazmowanie się publiczne. U nich jest to naturalny odruch, pomimo ich zwyczajnego chłodu i opanowania się.

I nie wiem już nawet kto ma słuszność: oni, czy my?